



Nr. 27.

PIŁNYCH DZIECI

Rok VI.

Towarzysz wychodzi co dwa tygodnie pod redakcją Władysława Bełzy. — Adres redakcji ul. Łyczakowska Nr. 19a. Adres administracji i ekspedycji w Księgarni F. H. Richtera w hotelu europejskim. — Cena *Towarzysza* w miejscu wynosi 1 złr. kwartalnie, z przesyłką pocztową 1 złr. 20 ct. — Dla wszystkich szkół ludowych w Galicji, tudzież dla całego Śląska prenumerata roczna *Towarzysza* zniżoną została na 2 złr. 80 ct. — Manuskryptów redakcja nie zwraca. — Reklamacye uwzględniają się tylko do dwóch tygodni od wyjścia numeru.

TYDZIEŃ GRZECZNEJ DZIEWCZYŃKI.

(Z FRANCUSKIEGO).

(Ciąg dalszy).

Joasia mówiła tyle o swoim szczęściu, aby sama w nie uwierzyć i innych o niem przekonać mogła; gdyż w głębi serca czuła się nie swoją, jak to zwykle bywa, gdy się jest po za swą sferą.

Aleksa proszoną była o rękę od swego kuzyna; była to nowa sposobność do uciech i zabaw. — Joasia jaśniała w salonach, dostawała piękne podarunki i wielkie obietnice.

— Ja cię nie zapomnę, mówiła młoda mężatka; ale pojmujesz moja Joasiu, że cię nie mogę zabrać z sobą do . . . bywać będę u dworu, potrzebuję więc panny grzecznej, ty nie nie umiesz.

— Zapewnie, odpowiedziała biedna dziewczyna, ale ja panią tak kocham!

— Zresztą, dodała Aleksa, trzeba żebyś tu została; coby Hermina bez ciebie poczęła?

Trzeba więc było dać odjechać młodej hrabinie: pierwsze zmartwienie Joasi. Aleksa była tą z pań A. którą ona więcej kochała.

Odjazd ten wypędził zupełnie wesołość z pałacu. Joasia przebywała najczęściej sama

w swoim pokoiku, zajęta robotą dla hrabiny; wtedy to przykre myśli ogarniały jej umysł; widziała już chwilę powrotu do ojca, gdzie miała się poniżyć do doglądania podwórza folwarcznego z dziewczkami służebnemi, podczas gdy siostra jej zrobiła 50 łokci koronek do wyprawy Aleksy.

— Na cóż mi się przydadzą te piękne książki? — mówiła. — Czy będę moim kuznetom czytała?

Hermina nadeszła niespodzianie, znalazła swą wychowaną we łzach, nastąpiło tysiące pieszczot, które zawsze pocieszyły biedną Joasię.

Dwa lata tak upłynęło. W końcu tego czasu znalazł się starający o rękę Herminy i został dobrze przyjęty. Nowe uroczystości, nowe podarunki dla Joasi, ale także i żal nowy. Mężatka miała podróżować i niepodobnem jej było powiększać liczbę swych ludzi. Wszystkie te powody były słuszne, tak słuszne, jak rady dawane niegdyś przez ojca Roberta swej córce. Joasia zrozumiała nie-szczęśliwe swe położenie: poszła do hrabiny i oświadczyła jej, że chce powrócić na fol-

wark, aby próbować na nowo wrócić do nawyknienia dzieciństwa.

— Dobrze robisz Joasiu — rzekła hrabina — to postanowienie mię zachwyca, moje dziecię, ja usunę się do klasztoru, obecność więc twoja staje mi się bezużyteczną. Zapiszę ci cokolwiek po mej śmierci.

Joasia podziękowała głosem, który zdradzał jej cierpienia i żal.

Powróciła na folwark, gdzie z trudnością znalazła dosyć dużą szafę na pomieszczenie w niej wszystkich podarunków, które od swoich pań otrzymała.

Pieszczoty jej rodziców nie mogły ukoić jej boleści. W sześć miesięcy po jej powrocie, wyszła druga jej siostra za majątnego tkacza. Joasia wtedy sama z ojcem i matką musiała się zabrać do gospodarstwa, ale jakiego męstwa trzeba jej było, aby zstąpić do mnóstwa szczegółów, których nie znała; do zwyczajów gminnych i jednostajnych! Ale Joasia była dobrą córką; łagodność jej charakteru jednała jej miłość dobrych dzierżawców. Dotąd jest z nimi; żaden mężczyzna ze wsi nie myślał ożenić się z dziewczyną bez majątku i nie umiejącej pracować.

Biedna Joasia, całe życie będzie sobie wyrzucała swe lenistwo. Często można ją widzieć rozmawiającą z wiejskimi dziewczętami:

— Moje dzieci — mówiła im — pracujcie, jeżeli chcecie być kiedyś szczęśliwymi. To jest godło biednej dziewczyny; a ja chciałabym — rzekła panna E., ściskając swą siostrzenicę, aby było także mej, ukochanej Wandzi!

— Ale moja ciociu, pozwól mi sobie powiedzieć, że zachodzi wielka różnica między Joasią a mną; przypuszczając, że pozostanę bez nauki, posiadać zawsze będę korzyści, jakich biedna Joasia nie miała.

— Przyznaję to — ale ty gorszych skutków doświadczysz; a oto, dla czego moja Wandziu: zamiast pozostać nieznaną na folwarku, narażoną będziesz na wszelkie nagrawania się ludzi, bo ty pójdziesz w świat. Samotność nie jest dla ludzi ogołoconych z zasobów rozsądku. Nie jest to rzeczą łatwą zdawać sobie sprawę ze wszystkich godzin dnia; to też, dla czego mama twoja chce przede wszystkim wpoić w ciebie nawyknienie do pracy. Trzeba droga Wandziu uczyć się użycia twego czasu.

— Moja droga ciociu, gdybyś nie była tak dobrą, jak i mama, przestraszyłabym się tego wszystkiego, co mam do czynienia; ale widzę, że Wandzia ma dwie przyjaciółki, które jej nie opuszczają. Ach piękna pracownio

moja, nie daj tu lenistwu memu zamieszkiwać!

Była dziesiąta godzina; mała dziewczynka uściśkała mamę i ciocię i odeszła.

NIEDZIELA.

Któż nie przypomina sobie tego przebudzenia małej dziewczynki w dzień jaki uroczysty, obudzenia przed zwyczajną godziną, sprawionego oczekiwania przyjemnością jaką; n. p. przebudzenie się dziewczynki w dniu swoich imienin. Później chyba niepokój jaki jest takim naszym budzikiem.

Wandzia, obudziła się także wiele wcześniej tej niedzieli. Z na pół przymkniętymi oczami szukała w pamięci swej jeszcze nierozbudzonej wypadków, które miały nacechować ten dzień, a których nadzieja wczoraj ją do snu ukołysała.

Wnet wyobraźni jej przedstawiła się biblioteka; fortepian, teka — słowem, wszystkie eleganckie i piękne meble, przedmioty, które stanowiły ozdobę jej pracowni; potem zabawa, którą ciocia miała urządzić dla jej przyjaciółek.

„A bez wątpienia, mówiła sobie Wandzia, będą jeszcze i inne przyjemności, których nie mogę przewidzieć“. Zdawało jej się, że dzień za długo się nie robi; chrapanie bony gniewało ją; kaszlała więc umyślnie, uderzała w poduszkę, wyrwała z niej kilka piór i dmuchała na nie z całej siły, żeby podlatywały. Wszystko to dobry skutek odniosło, zasnęła bona przebudziła się nareszcie.

Wtedy nie czekając jej rady, Wandzia wstała, ubrała się starannie i przechadzała się po pokoju, dokąd mama nie zadzwoni.

Nareszcie dzwonek dał się słyszeć. Wandzia lekka jak ptaszek, pobiegła do mamy, uściśkała ją i usiadła w nogach łóżka.

— Moja Mamo, powiedz że mi, jaka będzie ta niedziela, jak myślisz będziemy się bawiły?

— To już ułożone — rzekła pani Z. — Wszystkie twe przyjaciółki są zaproszone od twej cioci; śliczna latarnia magiczna przybyła wczoraj wieczór. Dotąd jednak, moje dziecię, będziemy się zajmować rzeczami tyle przyjemnymi, co poważnymi; za godzinę wezmę cię z sobą do kościoła; nie trzeba nigdy zaniedbywać uczyć się sercem i czynem, co to jest święcenie niedzieli. Potem pójdziemy daleko do jednej biednej kobiety, nawykłej mię widzieć, a która, pewną tego jestem, podwójnie się ucieszy twoją obecnością. Sądzę, że potem dosyć będzie czasu myśleć o przygotowaniach do naszej zabawy,

dobrze uczynki spełniane w niedzielę, nie wyłączają pewnych rozrywek.

Wandzia potakiwała mamie, ale strzegła się wyznać, że doznała zawodu.

Czas był prześliczny; mała dziewczynka chętnie zrobiłaby parę wizyt, pojechałaby na wysoki zamek powozem; spacer dziś musiał być bardzo miły; jej przyjaciółki były tam pewnie.

Na co się przyda mieć tak piękne konie? mówiła sobie Wandzia. — Gdy będę dorosłą, mój woźnica mniej będzie miał czasu wolnego niż mamy!

Nareszcie pani Z. z córką wyszły. Aby

dóść do katedry, trzeba było przejść część ulicy. Wandzia w złym humorze, szła milcząc obok mamy, z zazdrością spoglądając na powozy przejeżdżające, z których niektórzy byliby je obryzgały, gdyby się nie były strzegły.

Pierwszy to raz w życiu Wandzia była przytomną na sumie. Jakież było podziwienie jej na widok ołtarza, tak wspaniale przyozdobionego, bogatych ornatów księży, a szczególnie na widok tak wielkiego napływu wiernych w tym kościele, podczas, gdy tak jasne słońce zapraszało na przechadzkę!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Św. JADWIGA KSIĘŻNA WROCŁAWSKA.

Była córką Bertolda III., margrabiego Morawii, i Agnieszki księżniczki Rakuskiej. Już od pierwszej młodości, obdarzona szczególniejszymi darami Nieba, odebrawszy staranne wychowanie, przy wrodzonych przymiotach umysłu i serca, ozdobiona miłą powierzchownością, zjednywała sobie wszystkich. — W 1186 r. a w 12ej życia swego wiosnie, poślubioną została Henrykowi I. *Brodlatemu*, księciu Wrocławskiemu, jednemu z najpotężniejszych książąt z młodszej linii Piastów, panującej na Szląsku. Przed zawarciem tych związków, kiedy rówieennice jej zajmowały się strojami i zabawą, Jadwiga w modlitwach, w pokonywaniu ponęt próżności światowej, w rozdawaniu ubogim jałmużny, najmiłszą dla siebie znajdowała rozkosz. Zostawszy żoną, słodyczą i rozsądkiem, umiała sobie zjednać przywiązanie i szacunek męża, miłość i poszanowanie w narodzie. Jadwiga zostawszy matką trzech synów i tyluż córek, wychowywała ich w miłości i bojaźni Boga, w spełnianiu cnót chrześcijańskich, tak że wzrastali na pociechę rodziców i pożytek krajowi. — Wspólnie z mężem wystawiła klasztor w Trzebnicy, mieście o trzy mile od Wrocławia, 1203 r. do którego sprowadziła z Bambergu zgromadzenie Cystersów.

W klasztorze tym przyjęła śluby zakonne córka jej Gertruda, wdowa po Ottokarze hr. Witelbach i w 1207 została ksienią. Później wstąpiły tu i dwie młodsze jej córki: Agnieszka i Zofia. Zakonnice te trudniły się wychowywaniem młodych pańienek. Henryk *Brodaty*, był także jakby ojcem dla swych poddanych, poświęcał się ich dobru, poskramiał nadużycia możniejszych, budował miasta i kościoły.

Jadwiga często odwiedzała klasztor w Trze-

bnicy; wtedy wdziewała suknię zakonną, ale jako zameżna, ślubów wykonać nie mogła. Wtedy pokora jej dla innych zakonnic była zawsze przykładem. Umywała podróżnym nogi, pielęgnowała chorych, wspierała ubogich. Jaśniejąc cierpliwością, nigdy się nie uniosła, nikt jej gniewu nie widział, nikt dotkliwego słowa nie słyszał. Tym co przeciwniej, lub przeciw innym zawinił, mawiała: „Niech ci Bóg tego nie pamięta“.

Po śmierci Leszka białego, Krakowianie wezwali Henryka, który idąc za radą Jadwigi, stanął w obronie pozostałej po nim wdowy i małoletniego syna. Tak dalece ujął sobie serca Polaków, że wybrano go opiekunem Bolesława V. Wstydliwego, wyłączwszy od tej opieki stryja jego Konrada księcia Mazowieckiego. Obrażony Konrad, próbował oręza, nie mogąc jednak pokonać Henryka, użył zdrady i napadłszy go niespodziewanie w Spytkowicach, uwięził z sobą do Mazowsza. W nieszczęściu tem Jadwiga pokazała moc ducha, mówiąc: „Ufam w miłosierdzie Boże, że go uwolnię z tych więzów“.

Kiedy Konrad, mimo usilnych próób Wrocławian, nie chciał puścić Henryka, poddani postanowili uwolnić go siłą oręza. Wtedy Jadwiga, pragnąc zapobiedz rozlewowi krwi bratniej, zamierzyła udać się do Konrada. Przybywszy rzekła do niego: „Wiem książę, że masz większe prawa do opieki nad małoletnim, aniżeli mąż mój, ale nie posiadasz ufności i serca Polaków. Ale ty pomnając, że to jest krew twoja nie uczynisz krzywdy, ani nie przyczynisz zmartwienia wdowie, jeśli pragniesz żeby cię Bóg błogosławił“.

Konrad ujęty jej rozsądkiem i dobrocią, powściągnął zawiść i uwolnił Henryka pod

warunkiem, że zrzecze się opieki nad Bolesławem.

Jadwiga ściśle przestrzegała ustaw kościoła; z równą troskliwością pilnując, aby dworzanie ich dopełniali. Duch jej wznosząc się do Boga, coraz więcej nabierał siły, a unijając się w pokorze, wzrastał w mądrość i bojaźń Bożą.

Po śmierci męża w 1238 roku przypadłej, gdy syn jej Henryk *Pobożny*, książę Wrocławski, na obszernych polach Lignicy, w czasie pierwszego napadu Tatarów na Polskę, objął nad wojskiem dowództwo, postanowiwszy pokonać wrogów, lub zginąć z chwałą, Jadwiga krzepiła jego męstwo i zagrzewała do boju. Głos matki, głęboko utkwiał w duszy Henryka. Niezrażony ogromem pogaństwa, z wyborem Polskiego i Szląskiego rycerstwa, uderzył na ich hufce.

Znacie z dziejów Polskich nieszczęśliwą tę bitwę pod Lignicą, w której pod żelazem niezmiernie liczne gojanie, padło tyle rycerstwa chrześcijańskiego. Henryk Pobożny, walczył nieustraszone, i kiedy wróg przemógł na wielu miejscach bitwy, on wytrzymywał śmiertelny bój; ale opuszczony od innych, z 4-ma tylko towarzyszymi, jeszcze walczył z najeźdźcami. Wreszcie włócznią od tatarów rzuconą, przez pancerz przeszyty, prawie martwy z konia upadł. Rzuciła się tłuszcza na konającego, ucięto mu głowę i zatknięto na włóczni, obnoszono w około murów przerażonej Lignicy, do poddania ją wzywając. — Dzielne mury miasta, przy pomocy obrońców walecznych, ocaliły oblężonych.

Ciało Henryka znalezione na placu bitwy, naród wśród płaczu pochował w Wrocławiu. Pokrzepiona wiarą Jadwiga, pewna wiecznej dla syna od Stwórcy nagrody, z poddaniem się religijnem cios ten przeniosła, i wypowiedziała modlitwę następną, którą historia

dochowała: „Dziękuję Ci o Panie! że mi dałeś syna, który mnie szanując i postępowaniem nigdy nie zasmucając, w obronie wiary świętej, walcząc o całość kraju i dobro rodaków przeciw nieprzyjaciółom krzyża, tak chlubną poległ śmiercią! Szczęśliwa matka, duszę jego Tobie Boże polecając, w miłosierdziu Twojem ma nadzieję, że go do chwały swojej przyjąć raczysz“.

Jadwiga wybudowała wiele klasztorów, jako to: w Bolesławiu, Sadku, około Wąsosz, Złotogórza i w innych miejscach, oraz mnóstwo kapliczek. Umartwienie ciała do tego posunęła stopnia, że przez 40 lat życia, nie używała mięsa. Kiedy zapadłszy na zdrowiu, przyjmowała go z rozkazu Wilhelma biskupa Mutyńskiego, który jej ten posiłek pod posłuszeństwem kościelnem zalecił, mówiła, że rozkaz ten przykrejszy dla niej, niż sama choroba. Chojność jej w rozdawaniu jałmużny i litość nad nędzą bliźnich, była tak wielką, że w klasztorze w Trzebnicy, przytułek dla 1000 sierót opuszczonych zapewniła, cały swój majątek i klejnoty na to poświęciwszy. Odwiedzała chorych, a pełniąc przy nich usługi, wlewając pociechę religijną, ożywiała w nich zachwianą nadzieję. Wykupywała więźniów, wypraszała łzami od surowych wyroków, podając im zarazem skuteczne środki do poprawy dalszego życia.

Ciesząc się bliskim już zgonem, opatrzona śś. Sakramentami, dnia 8. września 1243 r. przykładnie Bogu ducha oddała, wśród łez sierót i zakonnic, z którymi ostatnie lata po śmierci męża przybyła.

Po śmierci, na jej ciele grubą włosiennicę znalezione, którą potajemnie dla umartwienia nosiła.

Klemens X. papież, oceniając jej życie świętobliwe i dobru ludzkości poświęcone, policzył ją w poczet świętych w 1258 roku.

PIĘKNY CZYN DZIEWCZĄTEK WIEJSKICH.

Steklin jest to zwyczajna sobie wieś, nie daleko od miasta Lipna, w gubernii płockiej, w Królestwie kongresowem położona. Zimą porą roku zeszłego przyszła do wsi tej jakaś biedna, chora kobieta z maleńkiem dzieciątkiem. Przyjęli ją do siebie czasowo jacyś dalecy krewni, ale chora kobieta z chorem dzieckiem — nie bardzo to pożądana goście w chacie wieśniaka, gdzie wszyscy pracować muszą... Nie wesoło było niebodze, a nareszcie i dziecię jej Pan Bóg powołał do siebie. Biedna matka z wielkim trudem zdołała dziecku swemu wystarać się o trumien-

kę, ale najcięższa bieda, jak tu tę maleńką trumienkę zanieść na cmentarz blisko o ćwierć mili odległy!

Chodzi biedaczka od chaty do chaty, prosi i żebrze, żeby jej dziecinę zawieźli, bo sama chora chwieje się na nogach i nie uniosłaby trumienki... Ale na próżno, nikt we wsi darmo tej przysługi oddać biednej kobiecie nie chce, do dworu zaś, jako obca, iść nie śmiała.

Już nieszczęśliwa głowę traci, co ma począć... aż wtem przychodzą cztery małe dziewczynki i ofiarują się zanieść dzieciątko na

PREMIA „TOWARZYSZA“ DO Nr. 27.



❧ Z I M A. ❧

cmentarz. Jedną z pierwszych, która podała tę myśl, była dwunastoletnia dziewczeczka; inne były też mniej więcej w tym samym wieku. Biorą trumienkę i pomimo zawiei, ślizgawicy i dokuczliwego zimna, niosą dzieciątko na miejsce wiecznego spoczynku.

Nieszczęśliwa matka, nie mogąca zdążyć za dziećmi utrudnia im jeszcze ten pochód; muszą bowiem przystawać i czekać na nią, nie chcąc jej samej zostawić wśród pola. — Nareszcie po kilku godzinach, przyszły do kościoła zsiniałe i skostniałe od zimna.

Ogrzano je i posilono na plebanji, a proboszcz dowiedziawszy się wszystkiego od bie-

dnej kobiety, wzruszony bardzo rzekł do dziewczątek:

— Bóg wam dzieci nagrodzi sowicie za dzisiejszy postępek; spełniłyście piękny chrześcijański uczynek.

Dzieciątko pochowane zostało, matka biedaczka otrzymała wspomóżenie... ale i ona w krótkim czasie poszła za dzieckiem swoim...

A co te dzieci nauczyło tej miłości bliźniego, co im wskazało drogę obowiązku? Oto nauki katechizmowe, na które pilnie uczęszczały i których pilnie się uczyły.

STARA BAŚŃ O WALIGÓRZE I WYRWIDĘBIE.

Dawno, bardzo dawno, żyło dwóch braci bliźniaków, których matka umarła zaraz po ich urodzeniu. Biedne sierotki o mało z głodu nie zginęły, ale, ponieważ ojciec ich był myśliwym i mieszkał w lesie, więc jednego z owych chłopczków wykarmiła wilczyca, i ten nazywał się Waligóra, drugiego niedźwiedzia i tego nazwano Wyrwidąb.

A niedarmo się tak nazywali; obaj byli nadzwyczajnie silni, pierwszy góry walił, jak drobne kamyczki, a drugi wyrывał najpotężniejsze dęby z korzeniami, jak żdźbła zboża. Od dzieciństwa kochali się niezmiennie i nigdy się z sobą nie rozstawali, a gdy urosli, wybrali się razem na wędrówkę po świecie. I dostali się do puszczy ogromnej, ciemnej; szli przez tę puszczy dzień jeden i drugi, aż dnia trzeciego musieli się zatrzymać, bo wielka góra zaparła drogę przed nimi. Wyrwidąb smutnie powiada tedy do brata:

— Co my teraz zrobimy, braciszku? musimy powracać, a jeszcześmy tak niewiele świata widzieli.

— Nie turbuj się braciszku, odpowiedział Waligóra, ja tu sobie prędko z tą górą poradzę i drogę mieć będziem wolną.

Poparł górę plecami, przycisnął, i góra z wielkim trzaskiem się przewróciła. Odsunął ją potem na pół mili i poszli dalej. Znowu czas jakiś szli bez przeszkody, aż w jednym miejscu, gdzie droga była bardzo wązka, ujrzeli przed sobą wielki dąb, stojący po samym środku, tak, że nie mogli przejść w żaden sposób. Ale Wyrwidąb nie namyslał się długo, pochwyił potężny pień drzewa, jak trawkę i rzucił w rzekę, tuż obok płynącą. Poszli więc dalej i szli znów bardzo długo, aż się pomęczyli, chociaż tak nadzwyczajnie byli silni; więc usiedli sobie pod lasem na

odpoczynek. Aż tu patrzą, mały człowieczek pędzi w tę stronę, a tak szybko, że ani zwierzę, ani ptak nawet nie zdołałby go pewnie dogonić. Zerwali się na nogi, przypatrując się dziwnemu widowisku, aż ten człowieczek zatrzymuje się w swym biegu i staje przed nimi.

— Jak się macie, chłopaki, woła do nich raźnie i wesoło; cóż to, utrudziliście się? jeśli tylko chcecie, ja was w jednej chwili zaniosę, gdzie tylko rozkażecie.

I rozwinął przed nimi piękny kobierzec, zapraszając ich uprzejmie:

— A no, siadajcie razem ze mną.

Wyrwidąb i Waligóra bardzo byli radzi, bo ich już nogi porządnie bolały, więc usiedli wygodnie na kobiercu obok człowieczka, ten klasnął w ręce i polecieł, jakby na skrzydłach ptaka.

— Aleś ty nie jechał na tym kobiercu, rzekł jeden z braci do człowieczka, gdyś do nas przybiegł. Jakimże sposobem pędziłeś tak szybko?

— Bo ja mam takie czarodziejskie trzewiczki, odrzekł człowieczek; gdy je włożę, tak biegnę, że co krok, to mila, co skoczę, to dwie.

Obu braciom przyszło na myśl, jakby to było wygodnie mieć takie wyborne trzewiczki i dalejże prosić człowieczka, żeby im dał po jednym, a prosili tak pięknie, że ten odmówić nie mógł i podarował im trzewiczki.

Gdy już nie mało świata oblecieli na czarodziejskim kobiercu, człowieczek wysadził ich przed wielkim miastem i dowiedzieli się, że był w tem mieście smok straszny i ogromny, który codziennie pożerał bardzo wielu ludzi. Król panujący w tym kraju, kazał głosić wszędzie, że kto tego smoka zabije, temu da

do wyboru jedną z dwóch swoich córek i tron swój przekaże mu w dziedzictwie. Nasi dwaj bracia natychmiast stanęli przed królem, oświadczając mu, że oni pódejmują się zabić smoka. Król uradowany kazał im pokazać drogę do jaskini, gdzie się ten straszliwy potwór zwykle ukrywał, gdy już głód swój zaspokoił. Wyrwidąb i Waligóra śmiało tam wyruszyli, ale jeszcze nie doszli do jaskini, gdy mały człowieczek zjawił się przed nimi.

— Jak się macie, przyjaciele kochani, wiem ja, gdzie wy idziecie; ale posłuchajcie dobrej rady; niech każdy włoży na nogę czarodziejski trzewiczek, bo smok może wyskoczyć tak nagle, że nawet ręką wam nie da machnąć.

Bracia wiedzieli, że im człowieczek ów sprzyja, więc posłuchali mądrej rady i dobrze się stało. Wyrwidąb wyrwał z korzeniem ogromnego dęba, podniósł go z zamachem w górę i stanął przed jamą, czekając aż smok z niej łeb wystawi, bo chciał go jednym potężnym ciosem zabić. Waligóra zaszedł z tyłu i wsparłszy się o skałę, w której się jaskinia ukrywała, zaczął nią trząść, jak snopem zboża.

Ale smok tak nagle wyskoczył ze swej kryjówki, że Wyrwidąb stracił głowę, przstraszył się, zapomniał nawet o pniu, który w rękę trzymał, i byłby go niezawodnie smok pochwycił, gdyby nie miał trzewiczka czarodziejskiego na nodze. Odskoczył więc w mgnieniu oka na dwie mile, a smok, nie mogąc go dogonić, rzuca się na Waligórę. A ten także ze strachu tak się zapomniał, że podniósł ogromną skałę w górę i upuścił ją na ziemię, a skała przycisnęła ogon potwora. Byłby smok pożarł pewnie Waligórę, gdyby ten nie był szybko odskoczył na dwie mile, w tę samą stronę, co brat; spotkali się tedy i zaczęli się naradzać.

— Idźmy teraz, braciszku, śmiało, powiada Waligóra. Smok się już nie poruszy z miejsca, uderzysz go więc po łbie twoim dębem, a ja go górą przywalę.

Poszli więc teraz odważnie, jeden górę niósł w rękach, a drugi wywijał ogromnem drzewem po nad głowę. Smok zawył strasznie, głośniej niż stado wilków, widząc zbliżających się swoich napastników, chciał się na nich rzucić, a tu się ruszyć nie może, bo ogon ma przyciśnięty do ziemi. Wyrwidąb przyskoczył

do niego i jak go palnął z rozmachem swoim pniem, roztrzaskał mu łeb od jednego razu, a brat tymczasem porwał górę i całe cielsko potwora przygniół i przywalił.

Król czekał na nich z wielką paradą, dał każdemu jedną córkę za żonę, po śmierci króla podzielili się zgodnie jego królestwem i żyli bardzo długo i bardzo szczęśliwie.

Czy potrzebujemy wam mówić, mili czytelnicy, że w całym tem opowiadaniu niema ani śladu prawdy? Wy dobrze wiecie, że nigdy, w najdawniejszych nawet czasach, nie było na świecie takiego Waligóry, ani Wyrwidęba, jest to sobie po prostu baśń, która jednak zasługuje na to, żebyście ją znali, bo jest niezmiernie starożytna. Od niepamiętnych czasów to podanie o dwóch braciach, wielkich siłaczach, krążyło pomiędzy naszym ludem.

Piękna jest ta baśń dla tego, że wystawia dwóch braci, którzy żyją z sobą zgodnie i wykonywają wspólnie wszystkie swoje nadzwyczajne przedsięwzięcia. Piękniejsza od owego podania o Krakusie, które znacie o z historii polskiej. Tam jest także taki smok drapieżny i dwaj bracia, ale przeciwnie, baśń wspomina o strasznej pomiędzy nimi niezgodzie. We wszystkich dawnych podaniach ludowych, w całej Europie, a nawet w najstarszych baśniach wschodnich, powtarzają się też same wypadki; występują w nich zwykle siłacze nadzwyczajni, czarodziejskie trzewiki, dwu, lub siedmiomilowe, kobierce latające, czyli samoloty i t. d. Dowodzi to, że wszystkie ludy europejskie miały kiedyś wspólną ojczyznę na Wschodzie, a gdy rozeszły się w różne strony świata, przechowały się w ustnych podaniach te stare bajki, które niegdyś wymyślili sobie ludzie. Były to może niekiedy jakieś zdarzenia prawdziwe, którym wyobraźnia nadała taką czarodziejską barwę. Jak małe dzieci lubią bajeczki, które im piastunki opowiadają, tak samo i ludy, nie mające jeszcze wykształcenia, wielkie mają upodobanie w baśniach i wierzą nawet bardzo często w te wszystkie czarodziejskie wypadki. Dotąd jeszcze pomiędzy ludem można spotkać takich, którzy są przekonani, że kiedyś, bardzo dawno, mogli żyć czarownicy i czarownice, i różne dziwne rzeczy wyrabiać, ale wy dobrze wiecie, że to jest dowodem braku oświaty, jeżeli ktoś może takie dziwaczne wypadki uważać za prawdziwe.

J E D Y N A K.

Majętny kupiec licznej rodziny ojciec, w przytomności dzieci swoich zwykł był odmawiać poranne i wieczorne modlitwy i zawsze temi

słowy je kończył: „Boże, dziękuję Ci za wszystkie dobra, których mi używasz, a więcej jeszcze za nieszczęścia, których z ręki Two-

jej doznałem". Długo obojętnie tych dziękczyniń słuchały, a nareszcie jednego razu najstarszy syn zapytał się: „Mój tato! dla czego dziękujesz Bogu za nieszczęścia? mnie się zdaje, że one nie są dobrodziejstwem". — „Myślisz się kochane dziecię", odpowiedział mu ojciec, „*nieszczęścia są nieoszacowanym dobrem, kiedy kto z nich korzystać umie*. Masz już lat dwanaście, rozum twój zdolny jest do objęcia wielu rzeczy, posłuchaj więc historyi mego życia a dowiesz się, jak jest słuszne dziękczynienie moje... Rodziców miałem bardzo majątnych i byłem ich jedynakiem. Nie ma przysmaków, wygod, pieśczęt, któremiby od kolebki nie był obsypyany; czegom tylko zapragnął, dawano mi natychmiast; miałem wolność czynienia, co mi się żywnie podobało. A gdy mi czego odmówić chciano, lub też metrowie do nauki mnie napędzali, jednem słowem, to jest zagrożeniem: *będę chorował!* uwalniałem się od wszelkiego oporu i przymusu. Tak się zemną działo do lat jedenastu; byłem co się zowie, dzieckiem nieznośnem: mazgaj, naprzykrzony, uparty, nieuk przy dobrem sercu i dosyć znacznej zdatności; ani wiem, coby zemnie było, gdyby Bóg w miłosierdziu swoim nieszczęścia nie był mi zesłał. Skutkiem rozlicznych okoliczności w jednej prawie chwili rodzice moi stracili cały swój majątek; zmuszeni jeździć za interesami, oddali mnie do dalekiego stryja. Był to człowiek wcale nie bogaty, dorabiał się dopiero majątku, bardzo poczciwy i rozsądny, ale ostry i surowy. Jakież odmiany w jego domu po rodzicielskim doznałem! uważany za sierotę i za dziecko będące na łasce, a przytem nieuślužny, wszyscy mnie łajali, a jam płał od rana do wieczora i miałem siebie za najnieszczęśliwszą istotę w świecie. Rok upłynął we łzach i utrapieniu, ale już niedoła, podległość ubóstwo, skarciły znacznie moją hardość, jużem był lepszy, posłuszniejszy; jednak nie brałem się jeszcze ani do pracy ani do nauki; i stryj już o oddaleniu mnie z domu swego przebąkiwać zaczął, kiedy mnie wzięła raz na bok żona jego: „Mój Ludwisiu — powiedziała mi — zastanówże się i zmiłuj się sam nad sobą! cóż to z ciebie będzie, jeżeli zawsze nieukiem i próżniakiem zostaniesz? Pókiś był bogatym, to niedbalstwo, ta gnuśność, lubo zawsze naganne i pogardy godne, jako tako uchodziły, ale dziś nic nie masz,

prócz rąk i głowy; jeśli i pracą i nauką wzgardzisz z młodu, w wieku późniejszym nie będziesz miał kawałka chleba: ludzie tobą wzgardzą, Bóg cię opuści i umrzesz gdzie w nędzy!" — Te słowa dobrej stryjenki zrobiły silne wrażenie na umyśle, już rokiem nieszczęścia przysposobionym; wziąłem się więc do zupełnej całego siebie odmiany. Stryj mój był kupcem, takem mu zaczął gorliwie w sklepie służyć, pomagać, pilnować; takem się starał pilnie i porządnie pisać, doskonale pojąć rachunki, że w krótkim czasie prawdziwą pomocą mu się stałem, z chłopca wyszedłem na subiekta, a po dziesięciu latach wiernej i gorliwej służby, współniukiem mnie swoim uczynił i pozwolił własną córkę pojąć za żonę. Nie długo potem umarł, żona jego wkrótce po nim wstąpiła do grobu; wtedy ojca mego sprowadziłem do siebie, matka już od kilku lat nie żyła, przepędził ojciec w domu moim ostatnie swe lata, osłodziłem mu je staraniem. Dziś jestem bogatym, umiem używać majątku i dzielić się nim, bom sam był w niedostatku, umiem kierować wychowaniem dzieci moich, bom doznał skutków złego prowadzenia dzieł, dui moje płyną swobodnie i mile w użytecznej pracy, a wszystko to winienem nieszczęściu. Jakże nie mam codziennie dziękować za nie Bogu!"

OGŁOSZENIE.

„WIENIEC I PSZCZÓŁKA“

pisma ludowe wychodzące naprzemian co tydzień — prenumerata roczna 3 złr. półroczna 1 złr. 50 ct. — Pismo religijne

„Posłaniec Pana Jezusa“

W Przenajświętszym Sakramencie utajonego, wychodzi co miesiąc, zeszytami, każdy zeszyt osobno wraz z pocztą tylko 3 centy.

Ci prenumeratorowie, którzy prenumeratę płacą za cały rok z góry — otrzymają **Posłańca** bezpłatnie — a także Kalendarz na rok 1881 gratis — który już wyszedł i sprzedaje się we wszystkich księgarniach po 50 ct. — Adres Redakcyi Lwów, ul. Akademicka l. 8.

X. Stanisław Stojalowski

Treść Nr. 27. Tydzień grzecznej dziewczynki, (z francuskiego, ciąg dalszy). — Św. Jadwiga księżna Wrocławska. — Piękny czyn dziewczątek wiejskich. — Premia „Towarzysza“ do nr. 27. „Zima“. — Stara baśń o Waligórze i Wyrwidębia. — Jedynak. — Ogłoszenie.